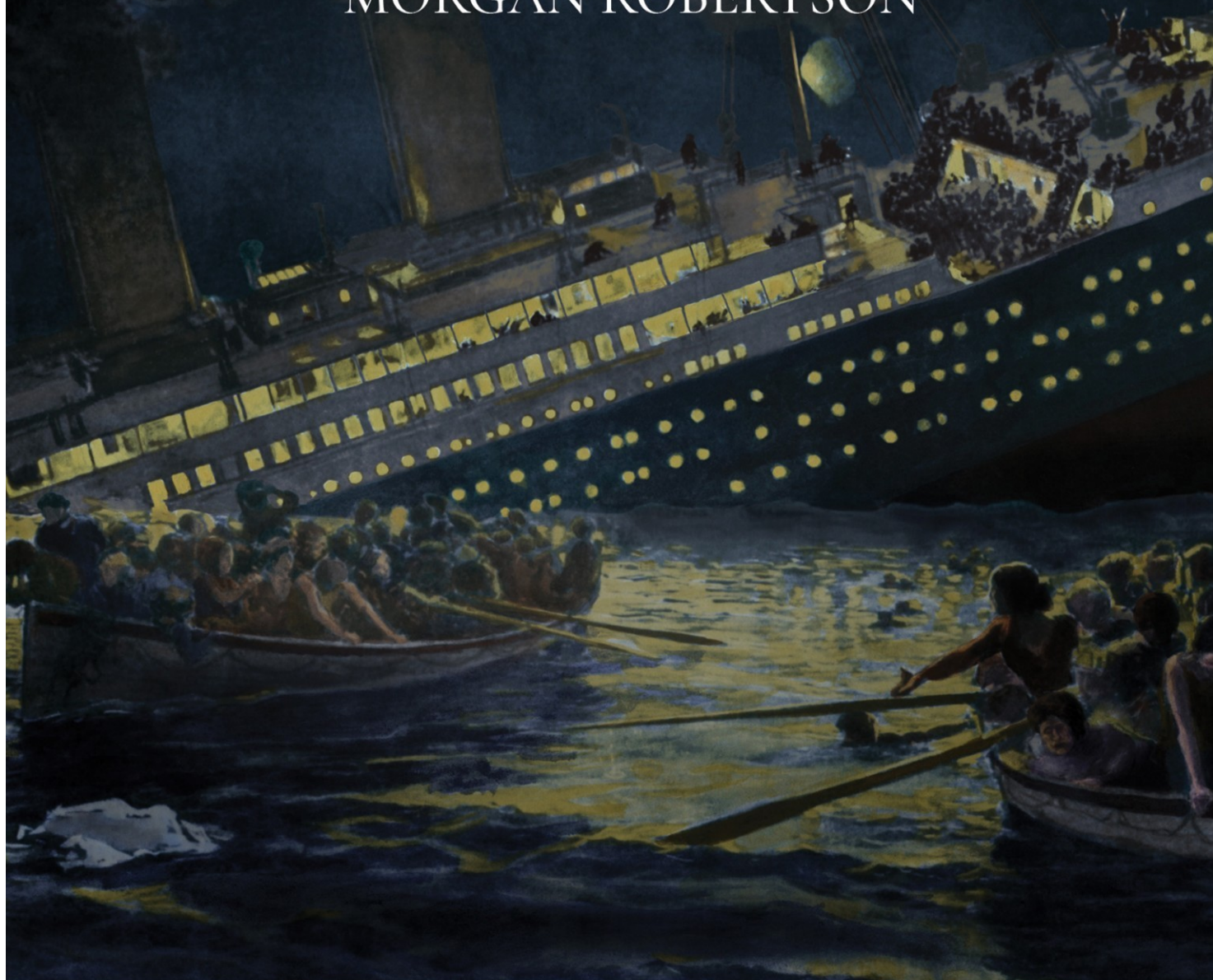


MORGAN ROBERTSON



KATASTROFA TITANA

(1898)

OPOWIADANIE, KTÓRE OKAZAŁO
SIĘ PRZESTROGĄ!

Morgan Robertson

KATASTROFA TITANA

(1898, 1912)

Pierwsze polskie wydanie:

Wydawnictwo Horyzont Idei, Damian Tarkowski, Polskie Wydawnictwa Niezależne, Toruń 2023 r.

www.hoid.pl www.sklep.hoid.pl

Facebook.com/HORYZONTIDEI

E-mail: kontakt@hoid.pl

© Damian Tarkowski, Wydawnictwo Horyzont Idei, Polskie Wydawnictwa Niezależne, Toruń 2023 r.

ROZDZIAŁ I

BYŁ największą jednostką pływającą i największym dziełem człowieka. W jego budowę i utrzymanie zaangażowane były wszystkie dziedziny nauki, zawody i rzemiosła znane cywilizacji. Na jego mostku znajdowali się oficerowie, którzy oprócz tego, że byli wychowankami Królewskiej Akademii Marynarki Wojennej, zdali rygorystyczne egzaminy ze wszystkich nauk dotyczących wiatrów, pływów, prądów i geografii morza; byli nie tylko marynarzami, ale także naukowcami. Ten sam standard wymagań zawodowych dotyczył personelu maszynowni, a obsługa kelnerska dorównywała tej z hoteli pierwszej klasy.

Dwie orkiestry dęte, dwa zespoły i grupa teatralna zabawiały pasażerów, gdy tylko ci nie spali, cały szereg lekarzy i kapelanów dbał o fizyczny i o duchowy dobrobyt wszystkich na pokładzie, podczas gdy dobrze wyszkolona kompania strażaków zapewniała poczucie bezpieczeństwa i dodawała coś od siebie do ogólnej rozrywki poprzez codzienne ćwiczenia ze swoją aparaturą.

Z górnego mostka biegły ukryte linie telegraficzne do dzioba, maszynowni rufowej, bocianiego gniazda na grotmaszcie i do wszystkich części statku, w których wykonywano prace, a każdy przewód kończył się na oznaczonej tarczy z ruchomym wskaźnikiem, zawierającym w swoim zakresie do wyboru każdy rozkaz i odpowiedź wymaganą przy obsłudze masywnego kadłuba, czy to w doku, czy na morzu – co w znacznym stopniu eliminowało zachrypnięte, nerwowe okrzyki oficerów i marynarzy.

Z mostka, maszynowni i kilkunastu miejsc na pokładzie można było w ciągu pół minuty zamknąć dziewięćdziesiąt dwie pary drzwi do dziewiętnastu wodoszczelnych przedziałów, obracając tylko jedną dźwignię. Drzwi te zamykały się również automatycznie kiedy pojawiała się woda. Po zalaniu dziewięciu przedziałów statek nadal unosiłby się na wodzie, a ponieważ

żaden znany wypadek morski nie mógł spowodować zalania tyłu przedziałów wodą, parowiec *Titan* uznano za praktycznie niezatapialny.

Zbudowany w całości ze stali i przeznaczony wyłącznie do ruchu pasażerskiego, nie przewoził żadnego łatwopalnego ładunku, który zagrażałby jego zniszczeniu przez pożar; a odporność na zapotrzebowanie na przestrzeń ładunkową umożliwiła jego projektantom odrzucenie płaskiego dna statków towarowych i nadanie mu ostrego „dead-rise”, czyli pochylenia od stępki jachtu parowego, co poprawiło jego zachowanie na morskim szlaku. Miał osiemset stóp długości, siedemdziesiąt tysięcy ton wyporności, siedemdziesiąt pięć tysięcy koni mechanicznych i podczas próbnego rejsu płynął z prędkością dwudziestu pięciu węzłów na godzinę, w obliczu niekorzystnych wiatrów, pływów i prądów. Krótko mówiąc, był pływającym miastem – zawierającym wewnątrz swoich stalowych ścian wszystko to, co minimalizuje niebezpieczeństwa i niewygody transatlantyckiej podróży – oraz wszystko to, co czyni życie przyjemnym.

Niezatapialny, niezniszczalny, przewoził tylko taką liczbę osób, na jaką pozwalały przepisy i dostępne kajuty ratunkowe. Te, w liczbie dwudziestu czterech, były bezpiecznie przykryte i przymocowane do klinów na górnym pokładzie, a gdyby je zwodowano, pomieściłyby pięćset osób. Nie przewoził żadnych bezużytecznych, uciążliwych tratw ratunkowych, ale – ponieważ wymagały tego przepisy – na każdym z trzech tysięcy miejsc w kajutach pasażerów, oficerów i załogi znajdowała się korkowa kamizelka ratunkowa, a wzdłuż relingów rozrzucono około dwudziestu okrągłych kół ratunkowych.

Ze względu na jego absolutną wyższość nad innymi jednostkami, towarzystwo żeglugowe ogłosiło, że w stosunku do *Titana* będzie zastosowana zasada nawigacji, w którą niektórzy kapitanowie głęboko wierzą, ale która nie jest jeszcze szeroko przyjętą normą. Będzie on płynął z pełną prędkością we mgle, w sztormie i w słońcu oraz na szlaku północnym, zimą i latem, z następujących dobrych i istotnych powodów: Po pierwsze, gdyby uderzyła w niego inna jednostka, siła uderzenia rozłożyłaby się na większej powierzchni, a gdyby *Titan* płynął pełną prędkością, to ciężar szkód poniósłby ten drugi statek. Po drugie, gdyby to *Titan* był winny kolizji, z pewnością zniszczyłby inny statek, nawet przy

połowie prędkości, i być może uszkodziłby swój dziób, natomiast przy pełnej prędkości z pewnością przeciąłby inny obiekt na pół, nie wyrządzając sobie więcej szkód, niż można naprawić za pomocą farby i pędzla. W obu przypadkach, jako mniejsze zło, lepiej było, aby ucierpiał statek o mniejszym kadłubie. Trzeci powód był taki, że przy pełnej prędkości można było łatwiej sterować, a czwarty, że w razie zderzenia z górą lodową – jedyną rzeczą na wodzie, której statek ten nie mógłby pokonać – zmiżdżenie dzioba okrętu – posunęłoby się raptem o kilka stóp dalej przy pełnej prędkości niż przy jej połowie, a zalane zostałyby najwyżej trzy przedziały – co nie miałyby znaczenia dla bezpieczeństwa statku, skoro zostałyby ich jeszcze sześć.

Oczekiwano więc z ufnością, że gdy jego silniki nabiorą mocy, parowiec *Titan* przewiezie swoich pasażerów na dystansie trzech tysięcy mil z szybkością i punktualnością pociągu kolejowego. W swym dziewiczym rejsie *Titan* pobił wszystkie rekordy, lecz do czasu trzeciej podróży powrotnej nie skrócił czasu przepłynięcia między Sandy Hook a Daunt's Rock poniżej pięciu dni. Wśród dwóch tysięcy pasażerów, którzy weszli na pokład w Nowym Jorku, nieoficjalnie mówiło się, że teraz zostaną podjęte wysiłki, aby to uczynić.

ROZDZIAŁ II

OSIEM HOLOWNIKÓW wciągnęło wielką masę statku w sam środek nurtu i skierowało go dziobem w dół rzeki, wtedy navigator na mostku wypowiedział słowo lub dwa, pierwszy oficer dmuchnął krótko w gwizdek i przekręcił dźwignię; holowniki zabrały swoje liny i odpłynęły. W głębi statku uruchomiono trzy małe silniki, otwierając przepustnice trzech dużych; trzy śruby napędowe zaczęły się obracać; i kolos, z wibracyjnym drzeniem przebiegającym przez jego wielką ramę, powoli ruszył w morze.

Na wschód od Sandy Hook porzucono holownik i rozpoczęła się prawdziwa podróż. Pięćdziesiąt stóp pod pokładem, w piekle hałasu, gorąca, światła i cienia, węglarze przenosili zebrane paliwo z zasobników do ładowni, gdzie półnaczy palacze, z twarzami jak u umęczonych potworów, wrzucali je do osiemdziesięciu rozgrzanych do białości pieców. W maszynowni nafciarze chodzili w tę i z powrotem, w tę i z powrotem pośród lśniącej stali, z puszkami oleju i odpadkami, nadzorowani przez czujny personel dyżurny, który wyteżał słuch w poszukiwaniu fałszywej nuty w pomieszonym gąszczu dźwięków, kliknięcia stali, które wskazywałyoby na poluzowany klucz lub nakrętkę. Na pokładzie marynarze postawili trójkątne żagle na dwóch masztach, aby dodać ich napęd i pobić rekord, a pasażerowie rozproszyli się wedle własnego uznania. Niektórzy siedzieli w fotelach parowca, mocno owinięci kocami, bo choć był kwiecień, słone, morskie powietrze było chłodne – inni spacerowali po pokładzie, przyzwyczajając swoje nogi do poruszania się po płynącym statku; inni słuchali orkiestry w sali muzycznej, czytali lub pisali coś w bibliotece, a kilkoro zajęło swoje koje przeważnie ci, którzy od lekkiego kołysania statku na fali wznoszącej, dostali choroby morskiej.

Pokłady zostały wyszorowane, w południe ustawiono wachty, a następnie rozpoczęto niekończące się sprzątanie, w które marynarze parowców

wkładają tak wiele swojego czasu. Na czele sześciostopowego bosmanatu stał bryg, który z wiadrami i szczotkami przyszedł na rufę po prawej burcie i rozłożył się wzdłuż relingu.

– Żurawie i kłonice, panowie, nie zważając na szynę – powiedział bosman. – Panie, lepiej odsuńcie nieco swoje krzesła. Rowland, zejdź stamtąd, wylądujesz za burtą. Ogarnij wentylator, albo nie, rozlejesz farbę, odłóż wiadro i weź papier ścierny. Szoruj burtę, aż doczyścisz.

Marynarz do którego się zwrócono, lekko zbudowany mężczyzna około trzydziestki, czarno-brody i opalony, na pozór był dobrego zdrowia, ale jakiś mętny w oczach i niepewny w ruchach, zszedł z poręczy i chwiejnym krokiem ruszył z wiadrem do przodu. Gdy dotarł do grupy kobiet, z którymi rozmawiał bosman, jego wzrok spoczął na jednej z nich, młodej kobiecie o słonecznych włosach i błękicie morza w oczach, która podniosła się na jego widok. Wtedy odwrócił się na bok, jakby chciał ją ominąć, i podniósłszy rękę w zakłopotanym półsalucie, poszedł dalej. Poza zasięgiem wzroku bosmanatu oparł się o pokładówkę i dysząc, przyłożył rękę do piersi.

– Co ze mną? – mruknął, znużony. – To nerwy po whisky, czy spazmy drżenia wygłodzonej miłości? To już pięć lat – i jedno spojrzenie takich oczu może zatrzymać krew w moich żyłach. Może przynieść z powrotem głód i bezradność serca, która prowadzi człowieka do szaleństwa. Albo i to... –

Spojrzał na swoją drżącą rękę, całą pokrytą bliznami i smołą, przeszedł dalej, i wrócił z papierem ściernym.

Młoda kobieta była równie dotknięta tym spotkaniem. Na jej ładnej, ale raczej słabowitej twarzy pojawił się wyraz zmieszanego zaskoczenia i przerażenia. Nie reagując na jego półsalut, złapała małe dziecko z pokładu za sobą i zabrała je ze sobą, skręcając w drzwi salonu, pospieszyła do biblioteki, gdzie zapadła się w fotel obok wojskowo wyglądającego dżentelmena, który podniósł wzrok znad książki i zauważył: – Spotkałaś węża morskiego, albo Latającego Holendra? Czy chodzi o nasze dziecko? Co się dzieje?

– Och, George, nie – odpowiedziała wzburzonym tonem. John Rowland jest tutaj, porucznik Rowland. Właśnie go widziałam, zmienił się, próbował coś do mnie powiedzieć.

– Kto, tamten facet? Nigdy go nie spotkałem, wiesz, i niewiele mi o nim mówiłaś. Jest tu jakąś szycią?

– Nie, wygląda na zwykłego marynarza. Pracuje i jest ubrany w stare ciuchy, cały brudny. I ma też taką zarośniętą twarz. Wygląda na to, że tak nisko upadł. I to wszystko od czasu...

– ...Odkąd go zostawiłaś? Cóż, to nie twoja wina, moja droga. Jeśli człowiek ma to w sobie, to i tak zejdzie na psy. Ma w sobie poczucie krzywdy? Jakąś skargę lub urazę? Jesteś bardzo zdenerwowana. Co on powiedział?

– Nie wiem, nic nie powiedział, zawsze się go bałam. Od tego czasu spotkałam go trzy razy, a on miał takie przerażające spojrzenie w oczach, i był taki gwałtowny, uparty i tak strasznie zły. Oskarżał mnie, że go zwodzę i bawię się z nim, i mówił coś o niezmiennym prawie przypadku, i o rządzącej równowadze zdarzeń, czego nie mogłam zrozumieć. Powiedział, że za wszystkie cierpienia, które zadajemy innym, sami otrzymujemy taką samą ich ilość. Potem odszedł w takiej złości. Od tamtej pory przeczuwałam, że się zemści, może porwie naszą Myrę, nasze dziecko...

Przycisnęła uśmiechnięte dziecko do piersi i mówiła dalej. Lubiłam go na początku, dopóki nie dowiedziałam się, że jest ateistą, George, on właściwie zaprzecza istnieniu Boga – a ja jestem chrześcijanką.

– Miał szczęście – powiedział jej mąż, z uśmiechem. I nie poznał cię za dobrze.

– Już nigdy potem nie wydawał mi się taki sam – kontynuowała. – Czułam się tak, jakbym była w obecności czegoś nieczystego. Myślałam jednak, jak chwalebny byłoby, gdybym polecił go Bogu i starałam się przekonać go o miłującej opiece Jezusa, ale on tylko wyśmiał to wszystko, co dla mnie jest święte i powiedział, że tak bardzo jak ceni sobie moją dobrą opinię, nie będzie hipokrytą, aby ją zyskać, i że będzie uczciwy wobec siebie i innych, i wyrazi swoją szczerą niewiarę. Tak jak gdyby można było być uczciwym bez Bożej pomocy. I wtedy, pewnego dnia, w jego oddechu poczułam alkohol, a do tego zawsze czuć od niego było tytoń... I porzuciłam go, a wtedy on się załamał.

– Chodźmy, pokaż mi go. – Powiedział mąż, wstając. Podeszli do drzwi i młoda kobieta wyrzała na zewnątrz. To ten ostatni człowiek na dole –

rzekła, wracając do środka. Mąż wyszedł i po chwili wrócił.

– Co! Ten łotr, który szoruje wentylator? Więc to Rowland, z marynarki, tak? Cóż, to jest dopiero wpadka. Czy nie został wyrzucony za zachowanie, które nie przystoi oficerowi? Upił się na spotkaniu z prezydentem, prawda? Chyba tak było, gdzieś o tym czytałem.

– Wiem, że stracił swoją pozycję i okrył się straszliwą hańbą – odpowiedziała żona.

– Cóż, ten biedny diabeł jest teraz nieszkodliwy. Za kilka dni będziemy na drugim brzegu i na tym wielkim statku w ogóle nie musisz go widywać. Jeśli nie stracił ludzkiej wrażliwości, to jest teraz tak samo zakłopotany jak ty. Lepiej zostań teraz w kajucie – robi się mgła.

ROZDZIAŁ III

GDY wachta wyszła o północy, zastała złośliwą półwicherę wiejącą z północnego wschodu, co w połączeniu z prędkością parowca tworzyło, jeśli chodzi o skutki na jego pokładzie, dość nieprzyjemną zamieć chłodnego wiatru. Na dziobie statku, wzburzone morze zadawało Titanowi kolejne ciosy, z których każdy powodował nowe wstrząsy dodatkowo obciążając silniki. Każde uderzenie powodowało powstanie chmury gęstej mgły, która sięgała aż do wroniego gniazda na dziobowym maszcie i uderzała w okna pilotówki na mostku, stale je bombardując z siłą, która mogłaby rozbić zwykłe szkło. Otchłań mgły, w której po południu pogrążył się statek, nadal go otaczała – wilgotna i nieprzenikniona. Wielki ścigacz szarżował z niezminiejszą prędkością prosto w jej szarą, stale cofającą się ścianę, a dwaj oficerowie pokładowi i trzech dodatkowi obserwatorzy wyteżali swój wzrok i słuch do maksimum.

Kwadrans po dwunastej dwaj mężczyźni wyczołgali się z ciemności na końcu mostka mierzącego osiemnaście stóp i wykrzyknęli do pierwszego oficera, który właśnie wszedł na pokład, nazwiska ludzi, którzy ich zastąpili. Cofając się do pilotówki, oficer powtórzył nazwiska kwatermistrzowi, który wpisał je do dziennika pokładowego. Następnie mężczyźni zniknęli przy kawie i, tak to nazwijmy, „wachcie pod pokładem”. Po kilku chwilach na mostku pojawił się kolejny ociekający wodą kształt, który zameldował o zmianie na wronim gnieździe.

– Rowland, powiadasz? – zawołał oficer przekrzykując wycie wiatru. – Czy to ten człowiek, który wczoraj został wciągnięty na pokład, pijany?

– Tak, sir.

– Czy on nadal jest pijany?

– Tak, sir.

– W porządku to wystarczy. Wprowadź Rowlanda do wroniego gniazda, kwatermistrz – powiedział oficer, po czym, wymachując rękami ryknął:

– Wronie gniazdo, tam!

– Tak jest – padła odpowiedź, krzykliwa i słyszalna, nawet podczas wichury.

– Miejcie oczy szeroko otwarte, wypatrujcie uważnie.

– Tak jest, sir!

– Przeżył wojnę, jak sędzę po jego odpowiedzi. To nie są dobrzy marynarze – mruknął oficer. Zajął swoje miejsce na dziobie mostka, gdzie drewniana balustrada dawała schronienie przed ostrym wiatrem, i rozpoczął długie czuwanie, które miało się zakończyć dopiero, gdy drugi oficer zwolnił go cztery godziny później. Rozmowy – z wyjątkiem tych na linii służbowej – wśród oficerów mostka *Titana*, były zabronione. Jego kolega z wachty, trzeci oficer, stał po drugiej stronie wielkiego mostka, opuszczając to miejsce tylko od czasu do czasu, aby spojrzeć na kompas, co wydawało się jego jedynym obowiązkiem na morzu. Osłonięty przez jedną z leżących poniżej pokładówek, bosman i wachta przechadzali się tam i z powrotem, ciesząc się jedynymi dwiema godzinami wytchnienia, jakie dawały przepisy obowiązujące na statkach parowych, gdyż praca dzienna kończyła się wraz z zejściem drugiej wachty, a o drugiej zaczynało się mycie przestrzeni międzypokładowej, jako zadanie otwierające następny dzień pracy.

Zanim zabrzmiał jeden dzwon i odpowiedź z wroniego gniazda, po której nastąpił przeciągły okrzyk: „wszystko w porządku!” ze strony wartowników, ostatni z dwóch tysięcy pasażerów udał się na spoczynek, pozostawiając przestronne kabiny i wiaty pod pieczę wachtowych, podczas gdy w swojej kabynie za sterem spokojnie spał kapitan, dowódca statku, który nigdy nie dowodził, chyba że statkowi groziło niebezpieczeństwo. Kapitan bowiem dowodził przy wpływaniu i wypływanu z portu, a oficerowie – na morzu.

Zadzwoniono dwa razy dzwonem a potem trzy, a bosman i jego ludzie zapalali już ostatnią fajkę, gdy nad głowami rozległ się przeraźliwy krzyk z wroniego gniazda:

– Coś przed nami, sir, nie mogę tego dostrzec.

Pierwszy oficer rzucił się do telegrafu maszynowni i chwycił za dźwignię. – Mówcie, co widzicie! – ryknął.

– Coś jest! Statek na prawej burcie! Cała naprzód!

– Cała naprzód, wprost na niego! – powtórzył pierwszy oficer do oficera przy sterze, ten odpowiedział i posłusznie wykonał polecenie. Z mostka nic jeszcze nie było widać. Potężny silnik sterowy na rufie, ale zanim wskaźnik kompasu zdążył się wychylić o trzy stopnie, ze zgęstniałej ciemności na horyzoncie i mgły wyłoniły się w kwadratowe żagle mocno załadowanego statku, przebiegające przez sam dziób *Titana* w odległości nie większej niż połowa jego długości.

– Utrzymać! – warknął pierwszy oficer. – Trzymać kurs! – krzyknął. – Stańcie na dole pokładu. – Przekręcił dźwignię zamykając przedziały, wcisnął za guzik z napisem – „Pokój Kapitana” i przykucnął, oczekując zderzenia.

Nie było prawie żadnego zderzenia. Lekkie uderzenie wstrząsnęło przednim końcem *Titana* i zsunęło się po przednim sztagu, a na pokład spadł deszcz małych drzewców, żagli, bloczków i stalowych lin. Potem, w ciemności na prawą i lewą burtę wystrzeliły dwa ciemniejsze kształty, dwie połówki statku, przez który się przedarł; a z jednego z tych kształtów, gdzie wciąż tliło się światło, dał się słyszeć, wysoko ponad zmieszany szmerem okrzyków i wrzasków, marynarski głos:

– Niech przekleństwo Boga padnie na ciebie i twój pokład, ty stalowy morderco.

Kształty zostały pochłonięte przez czerń za rufą, krzyki zagłuszył zgiełk wichury, a parowiec *Titan* zawrócił na swój kurs. Pierwszy oficer nie przekręcił dźwigni telegrafu maszynowni.

Bosman wbiegł na stopnie mostka po instrukcje.

Ustawić ludzi przy włazach i drzwiach. Każdego, kto wejdzie na pokład, odeślijcie do czytelnicy. Powiedz wachtowemu, żeby rozeznał się, czego dowiedzieli się już pasażerowie i jak najszybciej usunął te resztki wraku z przodu.

Głos oficera był już ochrypły i napięty, gdy wydawał te polecenia, a zdyszany bosman potwierdził ich przyjęcie.

KATASTROFA TITANA

ROZDZIAŁ I	2
ROZDZIAŁ II	5
ROZDZIAŁ III	9